

Proste jest piękne

Ze sztuka irlandzkiego autora Martina McDonagha „Kaleka z Inishmaan” jest bezpretensjonalnie i prosto opowiedziana historia kilku równie prostych i niekoniecznie szczęśliwych ludzi, wszystkim zgodzić się wypada. Ale jej ładunek emocjonalny, ciepło i fantazja bohaterów, czyni z niej jedną z najsympatyczniejszych pozycji repertuarowych ubiegłego sezonu, wznowioną na szczęście w Teatrze Powszechnym, ku uciesze tych, którzy jej jeszcze nie zdążyli zobaczyć.

Jej atrakcyjność, co nie zdarza się często, docenili krytycy i widzowie, toteż na wielu festiwalach spektakl ten zdobył liczne nagrody, przede wszystkim za kreacje aktorskie. Jest to właściwie rodzaj baśni, tyle że jej bohaterowie chcą się przekornie ukazać gorszymi, niż są w istocie. Udając brutalnych, grubiańskich i nieczułych, są w głębi duszy delikatni i wielkoduszni, a przede wszystkim zdolni do prawdziwych uczuć, których na ogół nie mają komu ofiarować. Jak w „Ani z Zielonego Wzgórza” w sztuce jest sierota i zdziwaczała ciotki, cała

galeria śmiesznych, prowincjonalnych typów, nie wolnych od słabości.

Być może, gdyby sztuka ta została nietrafnie obsadzona i słabiej zagrana, przeszłaby niezauważona, ale przy tak perfekcyjnej i pogłębionej interpretacji, jaką za sprawą reżyserii Agnieszki Gliškiej i Władysława Kowalskiego prezentują aktorzy, staje się niekwestionowanym wydarzeniem. Wydaje się przy tym, że aktorom granie jej sprawia jakąś osobistą przyjemność, co oczywiście nie musi, ale może uczynić z przedstawienia prawdziwie wspólne przeżycie. I tak to właśnie dzieje się w każdy wieczór, gdy zaglądamy do zapomnianego od świata i ludzi Inishmaan.

Co ożywia nadzieje mieszkańców tego sennego miasteczka, co wznieca namiętności, wyzwala bezprzedmiotową rywalizację? Szansa, jaka pojawia się wraz z ekipą kręcącą na tym kawałku zapomnianej ziemi. Stanowi to dramaturgiczny pretekst do ukazania relacji między bohaterami, relacji skomplikowanych, gdzie miłość przepłata się z nienawiścią, a pragnienie sukcesu z przeczuciem

porażki. Zdarza się w teatrze, że aktorzy zatracają się w emocjach bohaterów, że całkowicie identyfikują się z ich wnętrzem i problemami. I chyba tym razem tak się stało, dlatego mówienie jedynie o profesjonalizmie wydaje się zubożeniem oceny, na jaką ten spektakl zasługuje. Władysław Kowalski raz jeszcze dowodzi, że aktorstwo jest dla niego rodzajem wyrażania swego stosunku do świata. Partnerująca mu w roli matki alkoholiczki Wiesława Mazurkiewicz daje popis całkowitej symbiozy formy z

postacią. I wspaniałe kreacje młodych: rewelacyjna Edyta Olszówka, która grając jakby kogoś zupełnie innego niż jest w istocie, pokazuje misternymi środkami swoje prawdziwe, pełne ciepła wnętrze. Bardzo współczesna i dojrzała kreacja, choć ukrywanie ludzkich uczuć, jakich wstydzą się dziewczęta w jej wieku i kondycji, jest jednym z trudniejszych zadań aktorskich. Za tę właśnie rolę Edyta zostaje nominowana do aktorskiej nagrody „Feliksa”. Zupełnie nowymi środkami zagrał Rafał Królikowski, od-

chodzący konsekwentnie od wizerunku amanta na rzecz wciąż ciekawych „wariantów” swojej aktorskiej osobowości. On też został wyróżniony nominacją do tej nagrody, choć na werdykt musimy jeszcze poczekać. Bardzo obiecujący debiut Łukasza Garlickiego zapowiada zmianę warty warszawskiego pokolenia, które, jak widać, nie wybiera drogi powierzchownego „gwiazdorstwa”. Na klimat spektaklu pracują wszyscy grający w nim aktorzy.

KAROLINA



Zdjęcie:
Andrzej
Karolak